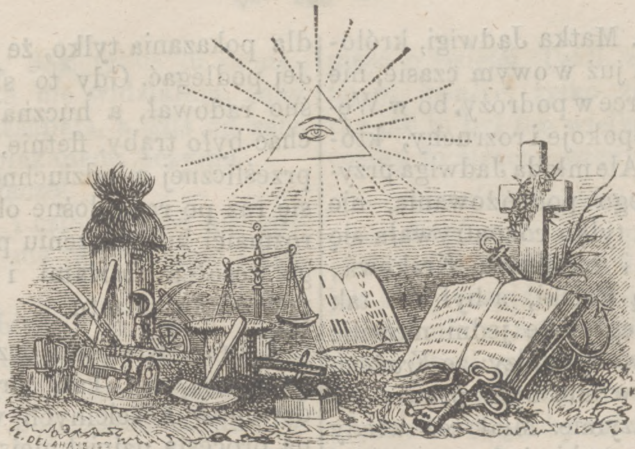
№ 16.
WARSZAWA.
19 Kwietnia
1863.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

*„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“* (S. Wincenty à Paulo).

# CZYTELNIA NIEDZIELNA.



## WJAZD KRÓLOWEJ JADWIGI DO KRAKOWA,
## *Koronacja i ślub Jej.*

### I.

Jest temu lat pięćset prawie, jak umarł nasz król Polski Kazimierz Wielki, nazwany królem chłopków dla tego, że bardzo kochał lud wiejski, i nad jego szczęściem pracował. Nie zostawił on syna, coby po jego śmierci rządził w Polsce, dla tego naznaczył po sobie za następcę Ludwika króla Węgierskiego, który znowu mało dbał o Polskę, niby zły ojczym o swoich pasierbów. Król Ludwik był synem Elżbiety siostry Kazimierza Wielkiego, a miał córkę Jadwigę, która tym sposobem była wnuczką króla Polskiego, i dla tego też po śmierci Ludwika naród Polski z radością przyjął Ją za swoją królowę. Oczekiwano więc z wielkiem upragnieniem Jej przyjazdu do Polski z Węgier, bo to już dwanaście lat upłynęło, jak kraj bez dobrego króla wiele nieszczęść ucierpiał, i wiele wojen u siebie z pogranicznemi sąsiadami musiał prowadzić.

Nareszcie w pierwszych dniach miesiąca Października roku tysiąc trzysta osiemset czwartego długi rzęd powozów otoczony orszakiem i strażą zbrojną pokazał się na szerokim gościńcu, co prowadził od Węgier przez góry Karpackie ku Krakowu. Jechała to właśnie Jadwiga ze swoim dworem. Za tym rzędem szedł nieprzejrzany szereg wozów i bryk ładownych, wiozących świetną wyprawę Jadwigi, wyprawę bogatą w czyste złoto i srebro, w drogie kamienie i klejnoty, w przepyszne naczynia, szaty, kobierce i złotem wyszywane ubiory. Przewodnikiem w tej podróży młodziuchnej Jadwigi był Dimitr sędziwy arcybiskup węgierski, bliski już grobu starzec; przy Jej boku jako drugi opiekun królewnej znajdował się Jan biskup węgierski. Pod opieką tych dwóch kapłanów, wśród świetnéj służby pań i panien, jechała czternastoletnia Jadwiga już to konno, jak było wtedy zwyczajem, już też w dużéj kolebce czyli w powozie o złocistych ozdobach, a kolebkę podtrzymywało z boku kilku przydwornych,

tak zwanych pajuków. Matka Jadwigi, królowa węgierska, wdowa już w owym czasie, nie mogła towarzyszyć córce w podróży, bo w Węgrzech wtedy były niepokoje i rozruchy, które uspakajać musiała. Ale młoda Jadwiga przyzwyczajona do częstego podróżowania, nie wiele jakoś tęskniła, tylko rozpatrywała się ciekawie po górach i okolicach Krakowa, co wtedy był stolicą Polski, a był on tak piękny, ludny i rozległy, że jedni mówili: *Kraków, to cała Polska*, a drudzy: ze *Kraków, to drugi Rzym*, bo też w nim było prawie tyle Kościołów, co w Rzymie. Miał też wtedy Kraków dwa obronne zamki, jeden na górze na Wielkim Wawelu, a drugi na Małym. Prócz tego broniły go dwie mniejsze twierdze i mur wysoki a mocny, co do koła to wielkie i wspaniałe miasto opasywał, i jeszcze prócz wielu pięknych rzeczy, to te prześliczne miejsca, gdzie pod Wielkim Wawelem srebrzysta nasza kochana Wisła błyszczała. Miała się więc czemu przypatrywać młoda Królowa Polska, a jadąc, zapewne co najrychlej stanąć pragnęła w tym, niewątpliwie z opowiadań znanym, a tyle slawnym grodzie, w którym się Jej dziadek Kazimierz Wielki urodził, wychował i umarł.

Przed Krakowem od strony tej, którędy jechała Jadwiga, są Krzemianki czyli tak nazwana góra Lasoty, i tam to naprzód wyszła ku niej z Krakowa świąteczna procesja księży, mieszczan i ludu Krakowskiego. Mnóstwo tam chorągwi kościelnych wiewało, a za niemi pod swoją własną chorągwią ciągnęło liczne grono Panów Radnych Krakowskich, którzy jaśnieli od bogatych strojów, srebrzystych pasów, aksamitnych wysokich czapek i przypiętych u pasów szabel. Za nimi postępowały szeregi i chorągwie rozmaitych cechów. Na chorągwi Panów Radnych był wyszyty herb Krakowa; trzy wieże, i złociste klucze. Na chorągwi każdego cechu jaśniały: to piły i hebel, to młot i kowadło, to kielnia, to pieniek i topór i tak dalej, a to według tego, jak szli: cieślowie, kowale, mularze, rzeźnicy i inni; prócz tych znaków na każdej chorągwi widać było także złociste klucze miejskie.

Gdy Królowa nadjechała, wszystkie chorągwie oddały jej głęboki pokłon, a potem złożono Jej w ofierze powitalny podarek niebogaty, dla pokazania tylko, że wszyscy chętnie chcą Jej podlegać. Gdy to składano, lud się głośno radował, a huczna muzyka grała: słychać było trąby, fletnie, piszczałki. Na widok prześlicznej młodziuchnej Królowej rozlegały się raz po raz głośne okrzyki ludu, a figlarze rozmaici ku uczczeniu przyjazdu Królewskiego wesołemi żartami i sztukami rozweselali pochód ku miastu.

U bram Krakowa oczekiwały Jadwigę nowe przyjęcia. Tam przy odgłosie licznych dzwonów kościelnych witała Ją nowa strojna procesja najpiękniejszych dziewcząt, ubranych w barwę radości, w białe szaty, z zapalonemi świecami w rękach, z wesołym śpiewem na ustach. Nie brakowało w tym ogromnym tłumie i młodzieży szkolnej, co głośno na znak radości śpiewała. A najulubieńszą uciechą dla ludu były niezmiernie gęste światła i świece jarzące się w ręku księży i ludu; dalej powywieszane latarnie przed domami, i ogromne stosy drzew zapalonych po szerszych ulicach i placach miejskich.

Śród takich oznak radości, które witały i zabawiały młodziuchną Królowę, minęła Jadwiga przedmieście Kazimierz, i niewidziawszy jeszcze głównego miasta, wjechała z całym swoim dworem na zamek Wawelski, w tę cudną siedzibę Królewską. Ale za nim weszła do przepysznych pokoi, zwróciła się pobożna Jadwiga naprzod do świątyni, do Krakowskiego Katedralnego Kościoła na zamku. Złożywszy tam korne a serdeczne podziękowanie Najwyższemu za szczęśliwie odbytą podróż, modliła się gorąco, aby Jej Bóg udzielił łaski w mądrem i sprawiedliwem rządzeniu krajem. Księża wynieśli Jej w darze najprzedniejsze święte relikwije, a ona zostawiła na ołtarzu bogatą ofiarę. Nareszcie otworzono pokoje zamkowe dla polskiej Królowej, a w mieście długo jeszcze trwały różne rozrywki, zabawy i tańce ucieszonego narodu.

---

## Kwietnia Niedziela.

Moja pani Janowa! czego ta stolarka tak

ciągle płacze i płacze. Jak tylko tu zamieszkałyśmy, tak jeszcze nie widziałam, żeby się ona choć raz roześmiała, a dziś od rana spotkałam ją już z zapłakanemi oczyma.

— Ha bieda, to i płacze!

— Ba! bieda! Toć i człowiekowi nie roskosz, a przecież się nie raz zapomni i rozweseli.

— Bywają takie biedy, co o nich zapomnieć trudno, niby niechętnie odparła pani Janowa. Ale myliłby się, ktoby myślał, że naprawdę była rada poprzestać na tak krótkiéj odpowiedzi. Pani Janowa dla tego zawsze z początku krótko zbywała, żeby więcej ciekawość zaostrzyć, a jak kto zaciekawiony na pierwszem pytaniu nie przestał, ale drugie, co najwięcej trzecie rzucił, to już odpowiadała długo, szeroko, a zawsze jeszcze daleko do końca się zdawało. I teraz już dobrze świerzbiał ją język, żeby sąsiadce historję stolarki opowiedzieć, ale chciała, żeby ją to niby do gadania przymuszono.

— No i cóż to takiego stało się tej stolarce? Że jéj mąż umarł, temu coś podobno ze cztery lata, to słyszałam. Ha! trudno! człowiek nie wieczny! dziś tobie, jutro mnie; żeby zaś tak lata płakać za każdym, co umiera, toby oczów człowiekowi nie stało. Tylko, że podobno miał być bardzo dobry dla niéj, to znów trudno takiego niepożałować.

— Któż wam mówił, że był bardzo dobry dla niéj, przerwała pani Janowa, oczewiście nie zadowolniona, że sąsiadka już o części historij przez innych uwiadomiona. Któż wam to powiadał?

— A tak, słyszałam od ludzi.

— Ba! ludzie gadają, aby gadać.

— Więc nie był dobry?

— Poszukać takiego moja pani, ale niechno pani zaczeka, ja ich tak znałam od małości, to ja wam wszystko od początku opowiém.

— Bo to widzicie, ja rodem jestem nie tutejsza, tylko z Łowicza. Wiecie, tam w Łowiczu jest wielki kościół, i obraz świętéj Wiktoryj w ołtarzu. Mnie też matka na chrzcie świętym dała imie Wiktoryj, pamiętam opowiadała nieraz potem, że ojciec to koniecznie chciał, żeby mnie Teklą ochrzcili, bo miał szczególne nabożeństwo do świętéj Tekli, pieśń o świętéj Tekli miał zawsze naznaczoną w książce, tylko że ta książka zginęła, raz jak to był ten wielki pożar. Jezus! Marja! cośmy to strachu wtedy użyli!

— Ale cóż o tej stolarce moja pani?

— A toć niech pani poczeka. Właśnie przecież o niéj mówię, czyli mam mówić dopiero, jak kolej przyjdzie. Moi rodzice, to się bardzo przyjaźnili z rodzicami jéj męża, bo też tak samo mieli w Łowiczu dom i gruntu kawałek. Nas było czworo u rodziców, a ich było pięcioro. Więc bywało, że my dzieci często bawiliśmy się ze sobą. Tylko że ja byłam najstarsza, a Józio, ten niby późniéj stolarki mąż, był majmłodszy. Najstarszemu to było Kostuś! Rożnieśmy tam o sobie myśleli, ha! znać woli Boskiéj nie było. Poszedł on do rzemiosła na naukę do Warszawy, ja do służby, potem mi się też trafiło za mąż. Byłam już za mężem, dobrze ze 12 lat, kiedyśmy się na Saskiej kępie raz z owym Kostusiem zeszli. Tak on mnie przedstawia swoję, ja jemu swego męża. Gadu, gadu o dawnych czasach, aż tu się dowiaduję, że się już i Józio ożenił, i na czeladnika stolarskiego wyzwolił. Potem często bywaliśmy u siebie. Józefom, to się też osobliwie darzyło wszystko. Bo to i robota była, na niczem nie zbywało, i kochali się ogniście. Dzieci, co prawda umierały im z początku, i został tylko jeden Karolek tęgi chłopak. Eh! Boże! Boże! byłoby może i lepiej, żeby i ten był umarł. Byłoby to raz, i koniec, a teraz! Cóż się z nim stało?

— A to też to, że nikt niewie, chyba jeden Bóg w niebie i Aniołowie święci, co się z nim stało, i dla tego to matka po nim oczu z łez nie osusza.

— No i jakże to było, zginął? Czy co?

— A to tak było. Trzy lata temu pod jesień, Józef zaczął słabować i po nowym roku coś w tydzień zakończył życie. Co ta kobieta użyła zmartwienia przez ten cały czas, co się napłakała, to już człowiekowi i wypowiedzieć trudno. Na lato się przecie jakoś wygrzebała trochę z biedy. Poodbierała, co się tam mężowi z różnych miejsc jeszcze należało, wynajęła sobie izbę, trudniła się praniem, i tego dzieciaka, to już tak kochała, że jéj za cały świat starczył. Patrzyłam przecie na to wszystko, bo już wtedy w tej izbie mieszkała.

Jak to przyszło Boże Ciało, tak ona chłopca wystroiła pięknie, sama pierwszy raz od śmierci męża ogarnęła się w co miała najlepszego, i poszła na procesyję. Na téj procesyi co się działo, żeby człowiek żył sto lat, to nie zapomni.

— Pamiętam przecie i ja dobrze, com sama z niéj z życiem uszła.

— Na mnie, to podarli suknię w drobne szmaty, i parasolik zgubiłam, a jeszcze był prawie nowy. Tak po tej procesyi, moja pani Józefowa, nie przychodzi na obiad, nie przychodzi na wieczór, aż już kawał w noc, słyszę ja u niéj w izbie szlochanie i krzyki,, Moje dziecko! moje dziecko jedyne! „Zrywam się z łóżka, lecę do niéj, a ta nic a nic, tylko szlocha, ręce załamuje, głowę o mur tłucze i krzyczy,, Moje dziecko! moje dziecko!,, Dopiero coś na drugi dzień, co się opamiętała trochę, i opowiadała mi, że jak się krzyk zrobił, ludzie pchać się zaczeli, tak się Karolek przewrócił, ona go chciała podnieść, tłum się cały zwalił, padła bez przytomności na kamienie, jak ją ocucili i podnieśli, tak gdzieś znikł, i już ani się dopytać, ani się dowiedzieć o niego.

— Mój Boże! to dopiero nieszczęście, no!

— Tak sobie rozmawiały sąsiadki o nieszczęśliwej stolarce, w Sobotę, przed Kwietnią Niedzielą. Wieczór zaprosiły ją do siebie, i radowały ją poczciwie, że mówiąc z niemi o swojéj biedzie, ulżyła trochę strapionemu sercu, i rozerwała się choć cokolwiek.

—

Nazajutrz piękna pogoda zajaśniała na niebie. Wiosnę czuć było w powietrzu, gosposie nasze raniutko się wybrały do miasta, żeby jeszcze dom obrządzić, ogarnąć się, i na summę w dzień tak uroczysty się nie spóźnić. Wracając spotkały się ze stolarką. Aż się żdziwiły, zobaczywszy, że stolarka miała twarz tak wypogodzoną, że tak raźno stąpała, niosąc w jednym ręku mały koszyczek z żywnością, w drugim pęczek świeżutkich niebieskich sasanków. Zatrzymała je sama, co się jej od bardzo dawna nie zdarzało.

— Dzień dobry! Już z miasta?

— Z miasta idziemy, a i pani tak rano?

— Śliczna dziś pogoda! To mi się wyraźnie wyśniło, to niebo takie szafirowe i słońce takie jasne.

— Śniła się pani pogoda.

— I jaki jeszcze śliczny sen miałam, to mówię pani, że sobie rady dać niemogę, tylko myślę i myślę od rana, czy mnie Pan Bóg jeszcze pocieszy, czy co? „I łzy strumieniem puściły się jéj z oczu.

— Cóż się pani śniło, moja pani kochana?

— Śnił mi się gęsty prześliczny las, ale nie ciemno w nim było wcale, bo słońce tak na wskroś świeciło przez gałęzie i przez liście, że ten cały las był niby, jak w jasnem złocie. Sasanki i dzwonki rosły gęsto. Ptaki skakały z gałęzi na gałęź, i śpiewały prześlicznie. Ja patrzę, a tu mój Karolek, w białej koszulce idzie przez ten las, gałęzie mu same przychylają się, a on rwie a rwie. Ja wołam na niego, Karolku! dziecko moje! A on mówi,, Czekaj mamo, czekaj, bo to na palmy do kościoła" Ja chce lecieć za nim, porwać go na ręce, aż tu się obudziłam. Tylko że widzicie, tak mi ciągle stoi w oczach jak żywy, w tej białej koszulce, i z zielonemi gałązkami w ręku, i jak by wołał na mnie,," Czekaj mamo, czekaj!,, O Boże! Boże wielki, żebym się jeszcze téj pociechy doczekała, żebym moje dziecko oglądać mogła!

— Rozpłakała się i pani Janowa, i druga sąsiadka, i strasznie się nad takim snem dziwowały.

— Gdzie pani pójdzie na summę?

— Mam chęć iść do Bernadynów.

— A no, to może pójdziemy razem, bo ja też do Bernadynów się wybierałam.

— Trzeba lecić do domu, bo się człowiek ani obejrzy, jak dziesiąta wybije, a potem tłok, że się nie wcisnąć.

— Snują się ludzie po ulicach, jedni z kościoła, drudzy do kościoła spieszą, w sercu u wszystkich modlitwa, co przedziera się przez wszystko co ziemskie, przez chmury i obłoki, sięga wysoko i trafia aż tam do tronu sprawiedliwego Boga. W ręku u wszystkich palmy zielone, w powietrzu świeży powiew od pól i lasów.... Wśród tego tłumu dąży pani Janowa ze stolarką do Bernadynów. Z kościoła już, poważnie, uroczyście, odzywają się organy, światło przybłyskuje przez otwarte podwoje, jeszcze tylko u drzwi

palmę do poświęcenia kupić potrzeba. Rozłożyły ich tutaj pełno wiéjskie kobiety, stosy całe leżą na białych płachtach, nadążyć nie mogą podawać kupującym. Tak to zwykle bywa, wszyscy cisną się i tłoczą koło jednej, drugie opuszczone są, i napróżno swoje, równie swieże, równie zielone palmy zachwalają. Po za wszystkiemi w kąciku, leży stos, jeszcze nie napoczęty wcale, choć śliczne palmy wysokie, z wiosennych gałązek młodziutkiej wierzby i sasanek. Z po za nich wykwitła twarzyczka rumiana, ośmioletniego może chłopczyka, którego na straży nad niemi postawiono. Na jasnych długich włoskach przewieszona jakoby od niechcenia czapeczka z pawiem piórkiem, sukmanka na nim granatowa i pasek czerwony. Ciekawemi, piwnemi oczyma, rozgląda się w około, i nie wiele dbać się zdaje na to, że palm nie ubywa. Nasze sąsiadki, odpychane przez tłum, zbliżyły się do owego nieznacznego kącika. Stolarka nachyliła się po palmę, kiedy chłopczyk uradowany, że i na niego kolej przyszła, porwał, najwyższą, najpięknieszą., ,,O, tę niech pani kupi,, mówił podając ją stolarce, i spojrzał na nią bystro i wesoło owemi piwnemi oczyma. Wzrok ten serce jej przeszył, z serca matki wyrwał się krzyk.

— „Karolku! dziecko moje, moje dziecko jedyne!“ I porwała go, tuląc do piersi, i jakby lękając się, aby jéj nieodebrano dziecka, uciekać z niem chciała.

— Karolek! jako żywo Karolek!,, wtorowała pani Janowa, tylko że wyrosł, nie taki chuderlawy jak przedtem.

— Na te wykrzykniki przystąpiła wiejska kobieta.

— Co to? co pani masz do tego chłopca?

— Kobieto! na miłość Boską to mój syn, to moje dziecko, to moja pociecha jedyna!

— Tym czasem, coraz więcej ciekawych gromadzić się poczęło, zaczęto rzucać tłumne pytania, którym pani Janowa, jakkolwiek wprawnie obrabiająca językiem, nastarczyć z odpowiedziami niemogła. Karolek zaś, zdumiony i przesztraszony stał między matką swoją a tą, którą od lat dwóch zwykł był matką nazywać. Niewyraźne wspomnienia snuły mu się po głowie, i w wielkich ciemnych oczach, znać było myśl zafrasowaną i wachającą się.

— Powoli, wyjaśniło się wszystko. Jakubowa gospodyni ze wsi, o dwie mile odległej, w pamiętne owe Boże Ciało, przybyła do Warszawy, i była na owéj procesyi. Ona to podniosła na ziemi leżące dziecko, a gdy matki jego ani znaleść, ani pięcioletniego dziecka o jéj mieszkanie lub nazwisko dopytać się nie mogła, zabrała je z sobą, chowała i kochała jak swoje, więc teraz, ledwie że najoczywistsze dowody skłonić ją mogły, aby tak długo strapionéj, teraz uszczęśliwionej matce znalezionego syna powrócić.

Palmy w oka mgnieniu rozchwytano, i zapłacono za nie dobrze. Po summie stolarka promieniejąca od szczęścia, zaprosiła do siebie Jakubowę, wypytując po tysiąc razy o najdrobniejsze szczegóły.

— Niechże ci Bóg całym wiekiem szczęśliwości niebieskiéj płaci każdą godzinę miłosierdzia twego nad sierotą! mówiła, ręce jéj z płaczem całując. Jakukowa trochę zachmurzona i namarszczona z początku, udobruchała się w końcu. Opowiadała, jaki to rozkoszny był dzieciak, jak do niéj przychodził na pole z dwojakami, jak raz od ulęgałek się rozchorował, jak czasem od Jaśka szturchańca dostał, jak mu Jagusia zawsze mały bocheneczek chleba piekła,, Ej, jak to ta będzie teraz bez niego w chacie, to ja nawet już niewiem!“

— Moja matko macie męża, przyjaciela swego najlepszego, macie dzieci własne, a ja nieszczęśliwa sierota, tylko jego jednego mam na świecie. Bez niego to już mi się zdaje, że i słonko nie świeci na niebie.

— Niechże wam rośnie na pociechę, amnie już czas do domu, ale co to tam dzieciska powiedzą, jak jego niezobaczą!

— A toć przecie dzieci swoje przyprowadzicie do mnie na wielkanoc, moi najmilsi, bo i Karolek będzie za niemi tęsknił. Nie puszczę was, aż mi przyrzeczecie święcie, że wszyscy z mężem i z dziećmi przyjdziecie do mnie na święcone.

— Musiała przyrzec Jakubowa, a zobaczymy, czy dotrzyma słowa. Oj będą też sobie mieli co opowiadać, ci z chaty, ci z miasta. Sama posłuchać bym rada, co oni też gawędzić będą, tyle wiem przynajmniej, że pani Janowa z językiem tam nie poprożnuje.

**WSZECH ŚWIAT.**

III.

*Kształt ziemi, jej ruch, pory roku i układ słoneczny.*

(Patrz numer 15 r. b. Czytelni Niedzielnej)

—

Kiedy zatapiamy wzrok w niebo pogodne, gdy przypatrujemy się tym światom, spostrzegamy, że te wszystkie światy lubo tak małe, bo w wielkiej od ziemi odległości znajdujące się, podobnie jak słońce i księżyc są kuliste. Ziemia nasza która jest takiem światem, również kulistą być musi. O kulistości ziemi wiele przekonywa nas dowodów. Żeglarze, którzy w różnych kierunkach przepłynęli ziemię przekonali się, że z jakiego miejsca wyjechali, do takiegoż miejsca powrócili, a jadąc ciągle naprzód. Gdyby ziemia była płaska, to w jednej chwili dla wszystkich mieszkańców byłby wschód słońca, co jednakże nie jest, bo w Kijowie wcześniej wschodzi słońce jak w Warszawie, w Warszawie wcześniej jak w Poznaniu i t. d. Nakoniec, że ziemia nie jest płaska przekonywa nas i to jeszcze, że gwiazda biegunowa nie dla każdego miejsca jest jednakowo nad poziom wzniesiona.

Chociaż ziemia jest kulistą, nie jest zupełną jednakże kulą, ale podobna raczej do pomarańczy, czyli jest kulą w dwóch na przeciwległych miejscach spłaszczoną. Te spłaszczone miejsca zowią się *biegunami ziemskieskiemi.* Jeżeli poprowadzimy myślą koło od obu biegunów ziemi równie oddalone, to koło to *równikiem* nazywać się będzie, i podzieli całą kulę ziemską na dwie równe części. Jedna zwrócona ku gwiazdzie biegunowej nazywa się *półkulą północną*, a druga przeciwna *południową.*

Wiemy już, że ziemia obraca się na około siebie, a w jaki to sposób, uważajcie! Wyobraźcie sobie wielki drut przechodzący przez oba bieguny ziemskie, a tem samem i przez środek ziemi, ten drut weźcie tak wielki jak wam się podoba, to koniec jego na gwiazdę biegunową natrafi. Przedstawcie sobie, że ziemia na około tego drutu obraca się od zachodu na wschód, to wtedy pojmiecie, dla czego się nam wydaje jakoby całe niebo z gwiazdami od wschodu na zachód się obracało.

Ziemia całkowicie obraca się w ciągu 24 godzin, czyli jednej doby. Przez połowę tego czasu jest obrócona do słońca, i wtedy mamy *dzień*, a przez drugą połowę odwrócona od słońca, i wtedy mamy *noc.*

Nasza Polska jest na półkuli *północnej*, dla tego też głównie o tej półkuli mówić będziemy.

Ziemia nie tylko na około osi swojej się obraca, ale jeszcze odbywa drogę na około słońca w ciągu jednego roku. Abyście dobrze zrozumieli ruch ziemi na około słońca, wystawcie sobie, że w ciemnym pokoju stoi na środku okrągłego stołu lampa zapalona., dalej wyobraźcie sobie, że jeden z was na żelaznym drucie osadzoną kulę trzyma wręku tak, że drut przez środek tej kuli przechodzący jest pochylony do stołu, a górny jego koniec do lampy zwrócony. *Takie położenie kuli, przedstawia położenie ziemi w czasie lata*, a mianowicie w dniu 21 czerwca, kiedy mówimy, że jest *przesilenie letnie*, czyli dzień najdłuższy.

Jeżeli przypatrzycie się dobrze tej druciannej półkuli północnej, to spostrzeżecie, że większa jej część jest *oświecona* a mniejsza nie *oświecona*, co nam tłómaczy dla czego dzień jest dłuższy od nocy. Jak tę kulę obracać będziemy na około drutu, to spostrzeżemy, że miejsca na półkuli północnej, które są bliżej bieguna północnego, pozostają dłużej w świetle a króciej w cieniu, a są i takie bliżej samego bieguna, co ciągle są w świetle. I to znowu tłomaczy nam, dla czego miejsca więcej na północ posunięte mają dnie dłuższe w lecie, od tych, które są bliżej równika. W Wilnie naprzykład, dzień letni jest dłuższy od tego samego dnia letniego w Krakowie.

Teraz wziąwszy w rękę dolny koniec drutu, posuwajcie kulą w ten sposób, że górny koniec drutu ciągle będzie zwrócony w jedną stronę, i posuwajcie dotąd, dopóki ćwierci stołu nie obejdziecie. Jakież w tedy będzie położenie kuli i drutu? Aby to jasno sobie przedstawić, powiem wam tak, że kiedy drut był zwrócony ku lampie, a ja patrzyłem na koniec drutu, to byłem twarzą obrócony ku lampie; teraz zaś kiedy się będę patrzył na koniec

drutu, to bokiem stać będę do lampy. *To drugie położenie kuli, przedstawia nam położenie ziemi dnia 22 września*, czyli w czasie *porównania dnia z nocą* t. j. *kiedy dzień równy nocy*. Cały ten okres czasu, jaki potrzebowała ziemia do przejścia ćwiartki swej drogi, od dnia 21 czerwca do dnia 22 września, zowie się *latem*.

Przypatrzmy się teraz temu drugiemu położeniu kuli. Widzimy naprzód, że połowa półkuli północnej jest oświeconą, druga połowa ciemna, co nam właśnie tłomaczy, że dzień jest równy nocy. Toż samo spostrzegamy i na półkuli południowej, słowem na całej kuli ziemskiej jest *porównanie dnia z nocą*. Dzień ten jest *pierwszym dniem jesieni*.

Następnie weź znowu za dolny koniec drutu i posuwaj się z kulą na około stołu w ten sposób, że ten drut ciągle jednakowo będzie pochylony do stołu, i w jednę i tęż samą skierowany stronę, i dotąd się posuwaj, dopóki znowuż ćwierći stołu nie obejdziesz. Wtedy dolny koniec drutu będzie skierowany ku lampie, a górny w przeciwną stronę, tak, że ty który ciągle się patrzysz na koniec drutu, i koło brzegu stoła postępujesz, będziesz stał tyłem do lampy, a nie twarzą jak w pierwszym razie, ani nie bokiem jak było w drugiem położeniu kuli. Cały ten okres czasu, jaki potrzebuje ziemia do odbycia drugiej ćwiartki drogi, to jest od dnia 22 Września do 21 grudnia, zowie się *jesienią*.

Przypatrzywszy się kuli w tem trzeciem położeniu, spostrzeżecie, że mniejsza część półkuli północnej jest oświetloną, a większa w cieniu, co tłomaczy nam, dla czego wtedy *noc jest dłuższa od dnia*. To położenie kuli, przedstawia nam położenie ziemi dnia 21 grudnia, czyli *położenie w czasie przesilenia zimowego dnia z nocą*, czyli chwilę, w której *ona jest najdłuższa a dzień najkrótszy*.

Dalej zobaczymy jeszcze, że skoro obracać będziemy kulę na około drutu, to miejsca bliższe biegunu północnego będą króciej w świetle, jak te miejsca, które są bliżej równika; czyli miejsca więcej na północ posunięte, mają dni krótsze w zimie, aniżeli te, które są więcej ku południowi położone. W Wilnie naprzykład w zimie są krótsze dnie jak w Krakowie.

W końcu należy jeszcze zauważać, że biegun północny ziemi i miejsca blisko niego leżące są ciągle w cieniu, choć się kula na około drutu obraca, co nas uczy, że są miejsca na kuli ziemskiej w zimie, które przez pewien czas mają ciągłą noc.

Teraz weź znowu za koniec drutu i posuwaj się z kulą w ten sposób, że ten drut podobnież jednakowo ciągle do stołu będzie nachylony, ciągle w jedną i tęż samą stronę będzie zwrócony, i posuwaj aż dotąd, dopóki trzeciej ćwierci stoła nieobejdziesz; natenczas położenie kuli w tym czwartym przypadku będzie takież same, jak w drugim, to jest ty, który ciągle postępujesz koło brzegu stoła, będziesz stał bokiem do lampy. Wtenczas połowa północnej półkuli będzie oświetloną, a druga połowa ciemną, co nam tłomaczy, dla czego *dzień wtedy jest równy nocy*. Toż samo się dzieje z półkulą południową, słowem na całej kuli ziemskiej jest dzień równy nocy czyli *porównanie wiosenne*. Dzień w którym ziemia ma takie położenie jest dzień 21 marca, *jest pierwszym dniem wiosny*. Okres czasu jaki potrzebuje ziemia do odbycia trzeciej ćwiartki swej drogi, t. j. od dnia 21 grudnia do 21 marca *zowie się zimą*.

Okres zaś czasu, jaki ziemia potrzebować będzie do odbycia czwartej ćwiartki swej drogi, czyli od dnia 21 marca do powrotu do pierwotnego swego położenia, to jest do dnia 21 czerwca *zowie się wiosną*.

Ile to cudów dzieje się na które patrzymy co chwila. Stwórca stworzył naszą ziemię, rzucił ją w wszech świat, wyznaczył drogę, po której tysiące lat już krąży, z której niezbacza, i ściśle pilnuje się swych odwiecznych praw. Gdyby człowiek mógł chociaż na chwilę zmienić bieg ziemi, gdyby choć bardzo mało zmienił jej położenie, pochyłość jej osi, już sprawiłby zamieszanie w całym wszech świecie, jużby pory roku przestały w tak prostym a swym przyrodzonym porządku po sobie następować, jużby w różne płody ziemia stała się uboższą, słowem tylko Najwyższa Mądrość najdoskonalszą w działach swoich być potrafi.

—Ale to jeszcze nie wszystko, takich jak nasza ziemia planet jest więcej. Każda z nich podobnie ma sobie zakreśloną drogę na około słońca, po której krąży. Słońce z krążącemi na około niego planetami stanowi tak nazwa-

ny układ słoneczny.

Dotąd nauczyliście się i już wiecie, że i słońce w miejscu nie stoi, że i ono na około większego jakiegoś słońca wraz z całym układem planet się obraca. A któż powiedzieć może, że to drugie jeszcze większe słońce z całym swoim układem nie obraca się znowu na około nowego jeszcze większego słońca? Gdzie jest granica tej nieskończoności światów. Tutaj umysł ludzki upokorzyć się winien, bo nieskończoność Stwórcy poznał w Jego dziełach.

---

## Książki nowe.

—

Pospieszamy powtórzyć wiadomość w tutejszych pismach: Kurjerze Warszawskim, Gazecie Warszawskiéj i Polskiej ogłoszoną o wyjściu w tych dniach z druku książeczki pod tytułem:

*Praktyczna nauka opatrywania* **przypadkowych skaleczeń, stłuczeń i ran,** *oraz pielęgnowania chorych.* Napisał ją doktór Gregorowicz, nauczyciel hygieny w wyższych rządowych zakładach naukowych żeńskich i redaktor pisma hygienicznego „Przyjaciel Zdrowia“ Książeczka ta już oprawna sprzedaje się po złp. 2 gr. 10 u samego autora, przy rogu ulic Chmielnéj i Marszałkowskiéj mieszkającego, i w księgarniach warszawskich. Zawiera w sobie:

ogólne wyobrażenie o skaleczeniach i ranach z ukąszenia; co zajmować ma podręczna apteczka domowa; maście; szarpie; bandaże; podział skaleczeń; ogólne uwagi o ukąszeniach i skaleczeniach; rozpoznanie krwi; ropienie; uszkodzenia przez ciała tłukące (kontuzje); uszkodzenia przez wydarcie i rozerwanie; ogólny pogląd niesienia pomocy; o szczegółowych skaleczeniach różnych części ciała; o skaleczeniach głowy; środki pobudzające; o ranach twarzy; o ranach nosowych; kontuzję; rany wargowe; leczenie tych ran; rany zadane w szyję; rany kanału oddechowego; rany części czołowo-oczowych; rany ucha; ogólne przepisy leczenia; o ranach serca; rany piersiowe od kul; znaki na odzieży; o kontuzjach piersiowych; o skaleczeniach w plecy; o skaleczeniach rdzenia; kontuzje stosu i rdzenia pacierzowego; o ranach przepony (błony dzielącej brzuch od piersi); o głębokich ranach brzucha; o ranach stawów; o opatrywaniu ran pospolitych gleceryną, i wynikających ztąd korzyściach; ogólne uwagi nad stanem zdrowia ludzi ranionych; o krwotokach; rozpoznanie krwi z żył i tętnic; o zatamowaniu krwi; o gojeniu się ran; o zapaleniu; o chorobach zjawiających się w zranieniach: tetanos, o gangrenie szpitalnej; o rozejściu się ropy w cały organizm; przepisy hygieniczne; o przecinaniu ran, wrzodów i o bandażowaniu; o przekłuwaniu wrzodów; o bandażach; o sposobach przewiązywania (bandażowania); o żywności; żywienie przez nozdrza, wpływ żywności na śmiertelność ranionych; tabelka żywności zastosowana do czasu trawienia; ogólne zasady żywienia; jak zwalczać zatwardzenie; o napojach; pociecha religijna.

Wszystkie te wyżej wymienione przedmioty treściwie a jasno i zrozumiale są opisane. Każdy, nawet nieznający nauki leczenia z opisów tych łatwo poznać może rodzaj choroby i środki wyleczenia chorego, a przynajmniej przyniesienia nagłej możebnej pomocy. Na wsiach, gdzie nie zawsze łatwo mieć lekarza i aptekę, książeczka ta wielce pożyteczną być może; przeto każdy o jej nabycie postarać się winien.

---

## Różności.

—

*Kassy oszczędności.* Wszystkie ludy oświeceńsze rozumieją to dobrze, że obowiązkiem jest każdego troszczyć się o swoją przyszłość. Więc uczą się, pracują i oszczędzają grosz, aby mieć jaki taki zapasik, na podatki i inne ciężary publiczne; na poratowanie się w czasie choroby, głodu, lub jakiejkolwiek innej klęski; na naukę i wyposażenie dzieci; na ulepszenie i rozszerzenie gospodarstwa, jeżeli jest rolnikiem, a zakładu czy rękodzielni, jeżeli jest rzemieślnikiem lub przedsiębiercą.

W niewielkiem państwie, jakiem jest Danija liczącą 2,660,000 mieszkańców, w roku 1861 w kassach oszczędności znajdowało się przeszło 233,333,333 złotych polskich, z czego wypada, że każdy z mieszkańców posiadał zaoszczędzonych pieniędzy prawie po złp. sto. A czemuż i my w naszéj Polsce niemoglibyśmy dojść do tego, zwłaszcza, gdy opatrzność obdarzyła nas ziemią tak urodzajną,— gdy pracować i zarabianego grosza niemarnować potrafimy.

**Przedpłata** wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12.— półrocznie złp. 6.— ćwierćrocznie złp. 3.—miesięcznie złp. 1
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bezkopert złp. 13 gr. 10.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem przedpłata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 13 gr. 10 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 19 Kwietnia 1863 r.